

WOJCIECH JÓZEF BURSZTA

PROFESOR JERZY WISŁOCKI

Profesora Jerzego Wisłockiego poznawałem dwukrotnie. Po raz pierwszy jako dziecko, kiedy w drugiej połowie lat 60. ubiegłego już stulecia pojawił się w kręgu najbliższych znajomych mojego Ojca. Grupa historyków, prawników, etnografów i archeologów wielce była wówczas zaangażowana w działalność wydawniczą, która prezentowała różne prace z tych dziedzin, zarówno o charakterze teoretyczno-metodologicznym, jak i bardziej empirycznym. W ten sposób ustalili się na wiele lat skład Kolegium Redakcyjnego Wydawnictwa Naukowego UAM. Profesor Wisłocki, jako sekretarz i pełnomocnik rektora do spraw poligrafii, był jednym z głównych animatorów tego przedsięwzięcia, a mój Ojciec starał się w ramach tej działalności promować prace etnograficzne, także jako Prorektor uczelni.

Z tamtych lat pamiętam niewiele, ale mam przed oczyma obraz niewielkiego wzrostem, ale szybko mówiącego i równie dynamicznie przemieszczającego się pośród ludzi i przedmiotów naukowca, kipiącego pomysłami i nigdy nie dopuszczającego myśli, że coś może się nie udać. I pamiętam jeszcze jedno: barwny, niekiedy dosadny język, którego nie unikał, a który tak kontrastował ze sposobem wypowiedzania się profesorów Łuczaka albo Jakóbczyka, żeby wymienić tylko te osoby ze wspomnianego grona, których obecność zauważałem zresztą ledwie na marginesie mojej głównej działalności, jaką był trening piłkarski w przydomowym ogrodzie... To chyba właśnie Profesor Wisłocki, wychodząc kiedyś z mieszkania przy Słonecznej, skomentował mój zapał, mówiąc do Ojca: „Józku, zawzięty z niego kopacz”; któż jednak słuchałby starszych ludzi, a przecież dla dziesięcioletka takimi oni wszyscy wówczas byli.

Mijały lata, kiedy nie miałem okazji ani bliżej poznać, ani nawet w istocie widywać Profesora Wisłockiego, mimo iż środowisko naukowe Poznania nie jest przecież przesadnie duże. Profesor „rezydował” wszak w Kórniku, nie pracował już na UAM, a te dwa środowiska były w jakiś sposób rozłączne. Nadszedł rok 1994, kiedy wróciłem ze stypendium w Stanach Zjednoczonych i zostałem zmuszony do zakupu nowego mieszkania. Potrzebowałem więc dodatkowych zajęć, aby zapewnić mojej rodzinie godziwe życie. W rozmowie z Państwem Profesorostwem Kwaśniewskimi, których odwiedziłem, dowiedziałem się, że istnieje możliwość zatrudnienia się w Zakładzie Badań Narodowościowych PAN, którym kierował

naówczas Profesor Wisłocki. Po kilku miesiącach odbyłem pierwszą rozmowę z moim przyszłym Szefem, dogadując warunki pracy na zasadzie umowy-zlecenia. Jakież było moje miłe zaskoczenie, kiedy ujrzałem tego samego człowieka, odrobinę może starszego i o krągłej posturze, mówiącego jasno i bez owijania w bawełnę, czego ode mnie oczekuje, jaka jest sytuacja w PAN, a w Zakładzie w szczególności. Od razu ujął mnie właśnie tym: optymizmem, zdecydowaniem i wiarą, że jak się ma dobre pomysły, to zawsze sobie poradzimy. Uwielbiałem te chwile, kiedy zjawiałem się w Jego gabinecie w Pałacu Działyńskich zdać raport z tego, co robię, i przy kawie i papierosach rozmawialiśmy o – nazwijmy to – kształcie świata. Bo z Profesorem rozmawiało się na wiele tematów – politycznych, osobistych, kościelnych, a także oczywiście *stricte* naukowych. Z niedowierzaniem przyjmowałem (od innych osób) informacje, że Profesor ma kłopoty ze zdrowiem, że powinien się szanować etc. W osobistych kontaktach nigdy o tym nie mówił i wręcz gniewał się, kiedy rozmowa schodziła na te tematy. Przechesując charakterystycznym gestem grzywę siwych włosów, zawsze „patrzył do przodu” i rysował kolejne plany, szacował możliwości, poszukiwał sposobów, jak zrealizować coś, co dopiero wykluwało się w jego myślach. I zwykle osiągał zamierzony cel, jak w wypadku Jego „ukochanego bachora” jakim stało się Centrum Elektronicznych Tekstów Humanistycznych, najpierw usytuowane przy Zakładzie Badań Narodowościowych, później przy Bibliotece Kórnickiej.

Powiada się, że ludzie starszej daty nie bardzo dowierzają i nie lubią nowocześniejszej technologii. Nic bardziej mylnego w odniesieniu do Profesora! Dla Niego nic nie było za trudne, ba, fascynował go postęp technologiczny, zwłaszcza jego aspekt użytkowy, a więc związany na przykład z archiwizowaniem zbiorów, tekstów i wszelkich informacji o historycznym walorze. Nieustannie pragnął się uczyć nowości, a jeśli nawet sam nie podejmował się tego trudu, z wypiekami na twarzy słuchał swoich fachowców, którzy zaznajamiali go z tajemnicami świeżo zakupionego sprzętu dla Centrum, czy w ogóle dla Biblioteki Kórnickiej.

Profesorowi zawdzięczam przede wszystkim to, że zająłem się problematyką etniczną i narodowościową, że coraz bardziej wciągałem się w pracę w Zakładzie – zarówno formalnie, jako dyrektor i redaktor naukowy „Spraw Narodowościowych”, ale także, i to jest najważniejsze – merytorycznie. Miałem zaszczyt być następcą Profesora na dyrektorskim „stołku” i nie był to łatwy kawałek chleba. Ale podjąłem się tej *mission impossible* właśnie dla Niego, aby udowodnić, że w roku 1995 nie pomylił się, zatrudniając mnie pod „własnymi skrzydłami”. Mam nadzieję, że widzi teraz z właściwego dystansu, że dzieło, które zapoczątkował powołując do życia Zakład Badań Narodowościowych, nie tylko trwa, ale rozwija się w takim kierunku, o którym nie można było marzyć w trudnych latach końca lat 90. Zaiste, Jerzy Wisłocki przypominał niekiedy Lecha Wałęsę (którego Profesor nie znosił), bo też stosował zasadę „ja rzucam pomysł, a wy go łapcie”. Tym się

jednak Profesor różnił od tego drugiego, że nie tylko rzucał pomysły, ale dyskutował o nich, nie tracił nimi natychmiast zainteresowania, ale przeciwnie – pilotował je i potrafił się później cieszyć. Ciekawe, z kim teraz rozmawiałby, zaciągając się z lubością kolejnym Golden Americanem?